

Sposób na Akermana

Nie mogłem zasnąć. Czuję się jakoś nieswój, tak jakbym przeczuwał, że nie będzie coś po mojej myśli. Trudno, szczęście nie zawsze musi dopisywać. Ostatnio wszystko szło jak z płatka i czasem bałem się, czy nie za szybko mi się udaje. Wierciłem się w łóżku już od dwóch godzin. Wziąłem nawet proszek od bólu głowy. Nic jednak nie pomogło. Wreszcie doszedłem do słusznego wniosku, że najlepszym lekarstwem będzie gorąca kąpiel. Stosowałem ją zwykle ze względu na higienę ciała, ale również po to, aby osłabić organizm. Tak, tak, po gorącej kąpieli czułem się zwykle senny, szybko usypiałem i spałem jak nowo narodzone niemowlę, tak też było i teraz. Tak szybko usnąłem, że nawet tego nie zauważyłem.

Obudziłem się dość późno. Byłem wściekły na siebie. Z samego rana miałem być w banku, a tak, masz babo placek. Zadzwoiłem do Francesca. Wyszedł jak zwykle szybko, pytając od progu:

– Czego pan sobie życzy?

– Czego sobie życzę? – zastanowiłem się. – Czego sobie życzę? Oczywiście, że tego samego co zwykle śniadania.

– Ale co podać?

– To, co lubię...

– Tak, panie – odrzekł Francesco. – Za chwilę był już z powrotem.

– Śniadanie już podane – rzekł, gdy zamysłony nie zauważyłem jego powrotu.

– Ach tak, śniadanie.

Zjadłem je szybko. Szybciej niż zwykle. Śpieszyłem się bardzo, bowiem byłem bardzo spóźniony. Jeszcze szybciej zbiegłem po schodach. Przed wejściem jak zwykle czekał mój służbowy samochód ferrari. Nacisnąłem gaz, niemalże do dechy, i po kilkunastu minutach byłem już w banku. Już od progu zauważyłem niewyraźną minę swego sekretarza.

– Panie dyrektorze, panie dyrektorze, na pana czekają...

– Kto czeka? – spytałem trochę zniecierpliwiony.

– Czekają, a właściwie czeka wiceprezes Rady Nadzorczej. Jest tak wściekły, że trudno do niego podejść.

– No, co z tego, że jest wściekły? Czy nie może?

Zauważyłem, że mój sekretarz chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tak jakby przygryzł język i tylko wydusił z siebie...

– Zresztą zobaczy pan...

– Ano, zobaczymy... – powiedziałem to jakby dla własnego uspokojenia niż odpowiedzi. Jednak, gdy wjeżdżałem windą na te swoje dwudzieste piętro, zaczęło ogarniać mnie jakieś nieokreślone przeczucie, że coś jest nie tak... Zacząłem wtedy szukać, pośród zakodowanych w pamięci informacji, co mogło takiego zaistnieć. Nie powiem, że bym był święty. Na moim stanowisku trudno było być świętym. Nie miałem nigdy czystych rąk, ale przecież starałem się coś z prawem robić w białych rękawiczkach. I, prawdę mówiąc, wiele było takich momentów. Nie miałem jednak czasu dłużej się zastanawiać, gdyż po kilkunastu sekundach byłem już na tym swoim dyrektorskim piętrze, gdzie miałem swój gabinet, sekretarza i sekretarki, wreszcie pokój i ogromne dyrektorskie biurko. No i oczywiście kasę... Ale w gruncie rzeczy cały ten bank był moją kasą. Już w drzwiach ujrzałem prezesa. Nie lubiłem go, ale cóż. Musiałem jednak go znosić. Uniósł się z mojego fotela gruby, napuszony z cygarem w ustach.

– No co, panie kolego? – rzekł. Choć przecież nie byliśmy ze sobą po imieniu. Nie zwróciłem jednak na to uwagi. Nie miało to dla mnie większego znaczenia. Ciekawiło mnie tylko, ale nie powiem, że nie niepokoiło, co ta gruba beka tłuszczu ode mnie chce? Mogłem się przecież po nim spodziewać wszystkiego najgorszego.

Powiedziałem też na progu:

– Dzień dobry, sir.

Spojrzał na mnie spod swoich krzaczastych brwi spojrzeniem nie wróżącym nic dobrego.

– Dzień dobry... – mrużąc tak jakby do siebie. – Dzień dobry... – mrużąc tak jakby do siebie. –

Komu dobry, temu dobry...

I rzeczywiście był dalszy ciąg, gdyż po chwil dodał o wiele głośniej:

– Komu dobry, temu dobry...

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, nie zdradzając się ze swoich obaw i głosem starego wygi dodałem:

– Tak, rzeczywiście ma pan rację. Wydaje się, że nie jest taki zły ten poranek...

– Może nie jest zły, ale nie dla pana...

– Tak pan myśli?

W tej chwili mogłem sobie pozwolić na to stwierdzenie. Może nawet bardziej ordynarnie niż on myślał.

Przez te dwa lata dyrektorowania obrosłem w finanse.

A to, że byłem w dalszym ciągu dyrektorem tego banku, było tylko płaszczykiem dla moich rozlicznych interesów, z których „ta gruba beczka” nie zdawała sobie sprawy. I może nawet nie przeczuwała. Tego dnia było jednak inaczej...

– Już niedługo będziemy musieli się ze sobą pożegnać – rzekł. – Pańska działalność przez ostatnie miesiące nie podoba mi się. Sam pan wie dlaczego!

Spojrzałem w jego dziecięce oczy tak, jak tylko spogląda niemowlę i głosem pełnym słodyczy przyznałem:

– Tak, rzeczywiście będziemy się musieli ze sobą pożegnać. Może nie całkowicie – po chwili dodałem... –

Lecz pewnie nie wie pan, że pięćdziesiąt jeden procent aktywów tego banku należy do mnie...

Ujrzałem, że moje oświadczenie go zamurowało tak, że przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Lecz potem zaatakował.

– Ach, tak... to tym bardziej pana pograża. To, że pan ma swoje aktywa, to w niczym nie zmienia sprawy...

I tak nie będzie pan dłużej piastował swojego stanowiska.

Wiedziałem, że bluffował. Nie ja, ale to on właśnie odkrył swoje karty.

A to, że był prezesem Rady Banku nie mogło być istotne. Moje pięćdziesiąt jeden procent znaczyło więcej. Wreszcie moje słowa zaczęły do niego docierać. Jego napastliwość w słowach zaczęła wygasać. Teraz już pewniejszy, o wiele pewniejszy, zasiadłem głębiej w fotelu i spoglądając na niego z wyższością, oświadczyłem:

– Tak czy inaczej musimy się rozstać. Zbyt się pan odkrył, abym pana na tym stanowisku mógł dłużej tolerować. A pana się już nie boję. Mam za sobą broń finansową, jak pan już wie... A to, że pewnie będzie pan kopał pode mną dołki, to nic panu nie pomoże. Może mi odrobinę zaszkodzi. Będę bardziej czujny. Na pewno będę w przyszłości bardziej odporny na pana zaczepki. Wiedziałem jednak, że to nie będzie takie proste. W gruncie rzeczy posiadał on swoje aktywa, choć mniejszościowe, ale jednak. I w niedalekiej przyszłości mogło być różnie... Z początku chciałem go zwolnić ze stanowiska szefa Rady Nadzorczej... Po dłuższym namyśle tak też uczy. Odczuł to jednak boleśnie, choć nie dał tego po sobie poznać. W tym teatrze pozorów mieliśmy obaj już dużą wprawę.

Całkiem niedawno nauczyłem się ukrywać swoje uczucia. Było w tym coś teatralnego, ale w gruncie rzeczy czy nasze życie nie jest swoistym misterium, w którym mamy jako aktorzy, przebrani w rekwizyty, grać

swoje życiowe role? Role, co prawda, nie zawsze zamierzone, lecz narzucone przez życie i okoliczności. Podniosłem się zza biurka i całkiem spokojnie powiedziałem:

– Tak więc aktywa pańskie będzie można przekazać na pana konto w innym banku. Nie są one tak wielkie, żeby zaburzyć sytuację finansową tego banku. Aktywa mogą też pozostać tu, by przynosić panu korzyści.

Wstał, jakby chciał coś powiedzieć. Zawahał się chwilę, jakby zabrakło mu mocnych argumentów.

Z jego pierwotnej buty nie zostało prawie nic. Tylko gdy odszedł od drzwi gabinetu, doszły do mnie słowa:

– Zobaczmy! Jeszcze nie wiadomo, kto będzie śmiał się ostatni.

Nie odpowiedziałem na zaczepkę, choć kryła się w niej wyraźna groźba. Nie miało to zresztą większego sensu. Wiedziałem, że muszę bardzo uważać. W tym stanie rzeczy mogłem się wiele spodziewać.

A to, że w jego słowach kryła się wyraźna groźba, byłem pewny. Cóż, nie dziwię się, wiele tracił... No, jeśliby się przegrało w ruletkę czy na giełdzie, pal sześć, ale tak, to musiało go porządnie zabość... Nie dałem jednak po sobie poznać, że rozumiem jego reakcję.

Gdybym dał jakiś sygnał, to mógłbym być źle zrozumiany. Wiedziałem jednak, że muszę być czujny. Tym bardziej, że czekała mnie okresowa analiza i spotkanie wszystkich akcjonariuszy. Wszystko musiało być w porządku, aby nic negatywnego nie wypłynęło na spotkaniu akcjonariuszy. Tym bardziej było to istotne, gdyż tak naprawdę nie byłem nadal większością akcjonariuszem... Ten mój bluff musiał mieć swoje pokrycie w akcjach. Po kilku minutach poczułem się pewniejszy. Bo coż on może mi właściwie zrobić? Mam w gruncie rzeczy bank w swoim ręku. A i Rada Banku jest uzależniona od moich decyzji, a ewentualnych oponentów będę musiał z rady wyrzucić, tym bardziej, że w radzie mam sporo zwolenników...

Nie wiem, jak długo siedziałem w fotelu. Może kilka minut, a może kilkadziesiąt, gdy do gabinetu zapukał mój dyżurny sekretarz.

– Dyrektorze, mister Marconi czeka na przyjęcie...

Już z daleka poznałem jego wysoką sylwetkę. Był przecież członkiem Rady Nadzorczej mojego banku.

– Dzień dobry – rzekł.

I nim go o cokolwiek zapytałem, usiadł w fotelu. W pierwszej chwili zdziwiło mnie jego zachowanie, gdyż nie miał on tego w zwyczaju. Lecz widać się szybko zorientował, iż popełnił nietakt w stosunku do mojej osoby, gdyż rzekł:

– Przepraszam, lecz to co mnie spotkało, przekracza granicę przyzwoitości. Czy pan wie, co szykuje nasz obecny prezes Rady Nadzorczej?

– Nie, bo skąd mam wiedzieć? – udałem głupiego... Marconi spojrzał na mnie wymownie. Widocznie przypuszczał i słusznie, że w moim zaprzeczeniu nie ma ani krzty prawdy...

– Przecież pan musi wiedzieć, że szykuje się rewolta... Niektórzy chcą przeforsować uchwałę o pańskim odwołaniu z funkcji dyrektora banku...

– Mnie, mnie?!... Chyba jakiś szaleniec mógłby sobie na to pozwolić! Zresztą niech spróbuje... – rzekłem zaczepnie. – Niech spróbuje, to zobaczymy, może się uda?... Mówi pan, że szykują na mnie to i owo... To niech szykują... Nie muszę się ich bać... Zresztą teraz mogę panu powiedzieć, że właściwie ten bank jest mój.

– Tak, mój... – dodałem, widząc zdziwione oczy siedzącego naprzeciw. – Więcej niż połowa kapitału banku jest w moim posiadaniu, a niektóre mniejsze aktywa są w rękach moich przyjaciół. Tak, że nie mam czego się bać...

Wiedziałem, tak jak poprzednio, że oczy mojego członka banku stają się coraz bardziej okrągłe. Widać pewnie do niego nie dotarła informacja o nowym właścicielu banku. Prawdę mówiąc, byłem dyrektorem banku już prawie piąty rok, a udziałowcem o wiele dłużej...

To, że z udziałowca stałem się właścicielem większościowego udziału, to był istny cud. Po chwili mój rozmówca doszedł do siebie i rzekł:

– Lecz jak to się stało? Przecież to niemożliwe...

– Niemożliwe, to wie pan, co jest? W finansach zdarzają się cuda.

Prawda, że wymagało to wiele pracy, a i szczęścia.

To prawda, że musiałem sprzedać swoje aktywa w innych bankach, a wykupić czy zamienić się z tym lub owym. Ale co się nie robi, aby osiągnąć sukces? Nie powiem, ale moje „dziecko” cieszyło się i to bardzo. Cieszyłem się bankiem tak, że momentami traciłem nad sobą kontrolę. Nie było jednak ze mną aż tak tak źle...

O to, co z takim trudem zdobyłem, musiałem jeszcze walczyć. Mimo posiadania przeszło połowy akcji nie czułem się do końca pewny. Nigdy nie wiadomo, co może się na rynku zdarzyć. Jakie siły mogą się przeciwko mnie spręgnąć. W sprawach finansów nic nie jest do końca wiadome... Zamyśliłem się na chwilę, ale już za moment byłem myślami w gabinecie i spytałem gościa:

– A może odrobinę dżinu czy jakiejś wódki? Mam doskonałe polskie i rosyjskie. Przez moment oczekiwałem na odpowiedź. Widać i mój rozmówca był, tak jak ja poprzednio, myślami daleko. Widać i jemu ta nowa sytuacja w banku nie dawała spokoju. Po chwili jednak się ocknął:

– Chętnie wypiję kieliszek wódki.

– Może tę polską? Polską? Proszę bardzo.

– Rzeczywiście ma pan dobry gust... Ja również gustuję w tej wódce. Jest w niej coś takiego innego, tak swoistego, a jednocześnie mocnego, że ścina z nóg. Okazało się, że mój rozmówca jest koneserem polskich wódek.

– Nie spodziewałem się, że jest ona taka mocna...

Chyba piłem ostatnio inną wódkę – widocznie podlizywał się. – Tak dobrej, a i mocnej, nie miałem jeszcze przyjemności.

Nie czekając na to, czy powie „tak” czy „nie”, nalałem mu nowy kieliszek. Nie oponował. Widziałem kątem oka, jak cedził zawartość kieliszka, rozlewając po zębach i wargach. Jak smakował wódkę językiem.

W tej samej chwili zaczęło mnie nurtować pytanie. Czego Marconi ode mnie chce? Że przyszedł z jakimś interesem, to wiadomo, ale z jakim?

Lecz gdy się dowiedział jak i co... Stać przed nie-wiadomą czy stanąć obok, czy z Akermanem, czy też być ze mną. Mógł przecież odejść wcześniej...

I tak łatwo dał się zatrzymać na wódce. Tego nie oczekiwałem. No cóż, człowieka poznaje się w danej sytuacji. Ta była inna. Może i dlatego wywołała taką, a nie inną reakcję. A może jest inaczej? Może doszukuję się w tym wszystkiego, lecz nie tego, czego się powinienem doszukiwać?

Tymczasem mój rozmówca był coraz bardziej rozmowniejszy. Tak czasami bywa, gdy człowiek ma cokolwiek za słabą głowę i cokolwiek w picciu przeszarżuje...

Nie powiem, dolewałem mu co chwilę. Cóż... to mnie kosztowało tyle co nic. Sam też się nie oszukiwałem w tym względzie, a miałem w tym wielką wprawę.

Ważne były wiadomości, no i częściowo plotki. Normalnie za nic w świecie by mi nie powiedział, po co przyszedł. W miarę jak paplał bezustannie, poczułem do niego obrzydzenie. Nigdy nie lubiłem donosicieli, ale teraz być może będę się nimi wysługiwać. A poza tym dobrze trochę więcej wiedzieć.

Widać jednak mój gość ostatnim chyba przeblyskiem świadomości załapał, że tak dłużej nie może być.

Więc się pożegnaliśmy. Poleciałem tylko kierowcy, by go odwiózł do domu, co też uczynił... Długo tego wieczoru, mimo „załanej pały”, nie mogłem zasnąć. Dzień był nad wyraz burzliwy i, być może, jeszcze większą burzę zapowiadał. Układałem w myślach plan walki. Wiedziałem, że Akerman mi nie odpuści i że to się tak lekko nie zakończy. Tymczasem był wieczór i służący Francesco zapowiedział kolację.

Nie potrafiłem pozbyć się stanu niepewności. Zastanawiałem się nawet, czy tego stanu wreszcie się nie oduczę. Zresztą nie tylko tego. Ale cóż, człowiek nie rodzi się mędrcom w kolebce. I tego

też pewnie się nauczę. Im szybciej, tym lepiej... Byłem teraz o wiele spokojniejszy. Pierwszą rundę tak jakbym wygrał. Tymczasem Francesco przyniósł moje ulubione jajka na bekonie. Nie mogłem też się oprzeć, aby nie otworzyć nowej butelki burgunda. W końcu zasłużyłem na nią. Nie piłem nigdy sam. Uważałem to za niestosowne, jak też niezwykle niebezpieczne, ale ten dzień mogłem zapisać na swoją korzyść. I, ledwie zanurzyłem usta w rozkosznej burgundzie, odezwał się telefon.

– Słucham – rzekłem.

– To ja, Marconi...

– Ach, to ty... Czego sobie życzysz?

– Czy mógłby mnie pan jeszcze raz przyjąć? Mam bardzo ważne wiadomości.

Ważne? Czy nie można by spotkania odłożyć na jutrzejsze przedpołudnie?

– Chyba nie... Zresztą to ważna sprawa... szefie...

Tak!

– Jeśli tak... to przyjeżdżaj...

Nie czekałem zbyt długo. Po półgodzinie zjawił się Marconi. Już w drzwiach wyczytałem z jego twarzy wielkie wzburzenie.

Nie okazywałem jednak ciekawości. Mogłem być źle zrozumiany. Wskazałem fotel, aby usiadł, co uczynił.

Nie grymasił co do napitku, wskazując dłonią na butelkę, która akurat stała na stole.

– No, to co, panie Marconi? Niech pan mówi, co ma pan do powiedzenia... Jest już prawie noc i czas jest iść spać. Powiedziałem to tylko tak, choć po prawdzie nie miałem ochoty na spanie, a i ciekawość mnie rozpierała.

– No widzi pan – wydukał z siebie Marconi – to nie jest takie proste.

– Co nie jest proste? W życiu nic nie jest proste stwierdziłem.

– No niby tak... – plątał się Marconi.

Jakby się bał, że powie więcej, niż powinien. Jakby się bał, że zaplątał się w całą sprawę. Mógł przecież stać sobie spokojnie obok i pewnie by się nic nie stało. A tak opowiedział się po mojej stronie i stał się małym donosicielem. Niestety nie mógł się już wycofać. Jak się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć i „b”, choć czasami można tego tak bardzo żałować.

Brnął więc dalej w tej spowiedzi: – No widzi pan... Po wyjściu od pana pojechałem od razu do domu. I tu nakrył mnie Akerman. No może nie dosłownie on, ale jego agent. Tak mi zabeltał w głowie, że nie mogłem odmówić zaproszenia, by pójść do pubu. Po drodze okazało się, że zmienił zamiar i trafiliśmy do jego mieszkania. Słuchałem podczas jazdy trochę z zaciekawieniem, a trochę z rozbawieniem tej jego paplaniny. Nie powiem, że mnie to nie interesowało. Czuję jednak, że nie mówi wszystkiego, a nawet, że chce się wycofać z tego, co przed chwilą powiedział. Nie wiem, czyżbym przeczuwał nieuchwytną, ale

zdradę Marconiego?... A może już wtedy za namową grupy Akermana chciał wywieść mnie w pole? A może...

Tymczasem ten ogrom wątpliwości nie dał mi się skupić. Przecież powinno być odwrotnie i rozum powinien podpowiedzieć, że coś jest nie tak... To przecież ja jestem w tej chwili górą i tylko krach na giełdzie mógłby coś zmienić.

Nie dopuszczałem jednak do siebie tej myśli i postanowiłem w najbliższej przyszłości lepiej się zabezpieczyć oraz mieć jak najmniej złych aktywów i inwestycji. No i zbudować bank w strukturze ponadnarodowej. Tak upojony swoimi marzeniami po dwóch drinkach wypitych z Akermanem wyszedłem...

Niewiele też mi zostało w pamięci z niedawno odbytej rozmowy. Jakaś drobna dykteryjka czy żart, nic poważnego.

Na razie upojony swoimi myślami mogłem spokojnie zasnąć.

Rano wstałem jak nowo narodzone dziecko. Świeższy i lekki na duszy. Myślałem nawet o potyczce z grupą Akermana. Nie byłoby to teraz rozsądne, bowiem prowadząc ferrari, raczej

powiniennem się skupić na jeździe, a nie bujaniu w obłokach. Szybko też byłem przed swoim bankiem. Jeszcze szybciej w swoim gabinecie. Tutaj dopiero, niczym wulkan w swoim żywiole, poczułem się o wiele lepiej.

Nie, nie dam się grupie Akermana – powiedziałem do siebie.

Tego ranka czułem się o wiele lepiej niż poprzedniego. Od razu zażyczyłem sobie kawę i małą lampkę martella. Wypiłem jednym haustem koniak, choć nie było to w moim zwyczaju. Kawę ostrożnie cedziłem między zębami, choć zwykle wypijałem ją dosyć szybko.

Z tą jedyną oznaką zdenerwowania wchodziłem w nowy dzień. Giełda miała być otwarta o dziesiątej. Spodziewałem się, że pewnie grupa Akermana wtedy mnie zaatakuje. Trzeba będzie jakoś przeciwdziałać. Już wcześniej udzieliłem kilku wywiadów, częściowo sponsorowanych, wiedząc, że trzeba dbać o swój image.

Dla dziennikarzy to drobnostka, najważniejsze, że artykuły ukazały się w odpowiednim czasie i mówiły: ja jestem głównym udziałowcem banku, jak też o innych pozytywnych faktach. Dopiero teraz ukazałem swoje oblicze. Jako anonimowy magnat koncernów żelaza, złota, ropy i gazu za-istniałem obecnie również jako bankier. Mogłem teraz spokojnie, lecz ostrożnie, patrzeć w przyszłość, wiedziałem, że muszę myśleć o dniu jutrzejszym. Że po drodze znów niejedyn Akerman się pojawi i będę musiał się z nim zmierzyć.

Gdy wychodziłem z banku, było już po czwartej.

Do samochodu miałem kilka kroków. W pewnej chwili doszedł do mnie krzyk sekretarza:

– Niech się pan schyli!

W tym samym momencie usłyszałem świst i od razu ujrzałem zakrwawioną twarz mego sekretarza. Poczułem, że odpływam w nicość.

Choć nie podejrzewałem, że Akerman we mnie tak uderzy, to jednak się stało. Nade mną zobaczyłem skupione oczy lekarzy.

– A więc żyję. To najważniejsze. Jutrzejszym. Że po drodze znów niejedyn Akerman się pojawi i będę musiał się z nim zmierzyć.

Gdy wychodziłem z banku, było już po czwartej. Do samochodu miałem kilka kroków. W pewnej chwili doszedł do mnie krzyk sekretarza:

– Niech się pan schyli!

W tym samym momencie usłyszałem świst i od razu ujrzałem zakrwawioną twarz mego sekretarza. Poczułem, że odpływam w nicość. Choć nie podejrzewałem, że Akerman we mnie tak uderzy, to jednak się stało.

Nade mną zobaczyłem skupione oczy lekarzy. – A więc żyję. To najważniejsze. Jak wyżyję, zaproszę Akermana na krwawą kolację.